

Oni tu stale byli

Byłem jednym z tych, którzy, jak pisze dziś Rafał Ziemkiewicz, „sarkali” na nadtytuł jego cyklu felietonów „Między Michnikiem a Rydzykiem”. Znając krytyczne poglądy Ziemkiewicza na temat Adama Michnika, nie mogłem zrozumieć, dlaczego ustawiał się między nim a Ojcem Rydzykiem. Co w ten sposób sugerował? Z jakich względów to robił? Czy będąc pośrodku „między dwiema skrajnościami”, sugerował, że jest alternatywa, którą on wybrał. Przyznając dziś sarkającym rację, Rafał Ziemkiewicz wyjaśnia że nadtytuł „stracił na aktualności” i dlatego wybiera sobie nowy, jak pisze, „stosowny do obecnego etapu historycznej ewolucji rządów miłości”. Brzmi on „Les bleus sont là”, co się przekłada z francuskiego na „oprawcy nadchodzą” (w dowolnym przekładzie) lub na „oni już są” – z pierwszych słów pieśni powstańców wandejskich. Witaj, Rafale, po jasnej stronie księżyca!

„Les bleus”, czyli niebieskimi, od koloru ich mundurów, nazywali Wandejczycy żołnierzy rewolucyjnych. Sami zaś nazywali się „białymi”, gdyż biel symbolizowała monarchię i króla. Powstanie wandejskie, (wciąż bardzo mało poznane, gdyż w szkole uczono nas głównie o postępowych hasłach Rewolucji Francuskiej), było zrywem ludu francuskiego, głównie chłopstwa, i miejscowej arystokracji przeciwko Rewolucji Francuskiej, która ku zaskoczeniu Wandejczyków chciała kompletnie zniszczyć ich świat, ten w którym trwali od wieków, uznając zwierzchnictwo Boga i króla. Jak pisze Marek Robak,

autor popularnej książeczki „Wandea 1793”, „w ciemnościach Wandejczyków rozpoznawano po modlitwach, a żołnierzy rewolucyjnych po przekleństwach i bluźnierstwach. Biali na szyjach nosili różańce, a na piersiach szkaplerze z Najświętszym Sercem Jezusa – było to czerwone serce z wyrastającym z niego krzyżem. Stało się ono symbolem powstania wandejskiego”. Wandejczycy, broniąc chrześcijaństwa, dawali przykład swojej wiary nawet wobec jeńców. „Nie odpowiadajmy złem na zło” – powtarzał przywódca Wandejczyków Henryk du Bergier, hrabia de La Rochejacquelein (1772–1794). Historia walczącej o zachowanie chrześcijaństwa Wandei to najpiękniejsza karta w dziejach Francji. W Wandei wiara przetrwała do dziś i wydaje się być tak samo silna jak dawniej, tak jak i pamięć o męczeńskich przodkach. Warto przypomnieć, że w 1984 roku Jan Paweł II beatyfikował 99 ofiar spośród 2 tysięcy (połowę stanowiły kobiety) zamordowanych bestialsko mieszkańców jednej tylko miejscowości wandejskiej Angers, kilka kilometrów od Loary.

Polscy „niebiescy” właśnie nadchodzą. Dla wielu oni niestety już są. Można ich zobaczyć w polityce mówiących ryszotkiem, kłamiących, a potem prowokacyjnie oskarżających innych o to samo. Można ich poznać po wpisach na forach internetowych, gdy nie kryją swojej satysfakcji z morderstwa, jakiego dokonał w Łodzi Ryszard C. Można ich było zobaczyć w dniach sierpniowych na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie, a szczególnie w dniu, w którym zorganizowali tzw. „akcję krzyż”. To była polska

„kolumna piekielna” atakująca obrońców krzyża, wrzeszcząca „krzyże do kościoła, bydło do obory”. I było tam bierne polskie państwo w postaci Policji i miejskich służb porządkowych, przyglądające się profanacji krzyża i fizycznej agresji wobec słabszych modlących się przy nim.

To nie PiS „otwiera wrota piekieł”, jak powtarza zapiekle monotony w swych antypisowskich fobiach były PZPR-owiec i były opozycjonista Waldemar Kuczyński, wspomagany dziennikarko przez równie jak on „racjonalną” w swych poglądach małżonkę. (Oboje drukują prawie te same teksty).

To nie PiS wywołał tę wojnę, tylko partie, które uznały swoje historyczne porozumienie z komunistami w 1989 roku za legitymację do sprawowania władzy przez kolejne dziesiątki lat, jak PZPR w PRL-u. Już u progu III RP, ludzie ze środowisk Kuczyńskiego (późniejsi członkowie Unii Demokratycznej, Unii Wolności, Partii Demokratycznej) nie kryli swojej krytyki wobec „czarnych”, czyli przedstawicieli Kościoła, tak potrzebnego im w czasach głębokiej komuny, gdy można było się pod jego skrzydłami schronić.

Polscy „Les bleus” bardzo nie lubią, gdy inni mają własne zdanie. Równocześnie uwielbiają mówić dużo o demokracji, pluralizmie, tolerancji, nowoczesności, modernizacji, oraz o swojej heroicznej działalności w „demokratycznej opozycji”, okupionej tyloma cierpieniami zadanyymi przez komunistów. Jeśli to wszystko prawda, to jak to pogodzić z żądaniem pozbawienia obecnej opozycji prawa do demokratycznego istnienia? Czy można

to pogodzić z czyszkami kadrowymi w publicznych mediach, które z taką radością wita za każdym razem „główny kadrowy III RP”, czyli Gazeta Wyborcza? Czy wreszcie z wypowiedzią premiera Donalda Tuska sprowadzającą się do konstatacji, że Polacy wybaczą jego partii wszystko, tylko nie utratę władzy na rzecz PiS-u, na rzecz „ludzi, których cechuje podejrzliwość i agresja”. Czy słowa te nie są zapowiedzią utrzymania władzy za wszelką cenę?

Jeżeli tak jest w rzeczywistości, to po 20 latach tzw. transformacji systemu, jesteśmy ponownie w PRL-u, z wszelkimi konsekwencjami królowania kłamstwa, obłudy, strachu przed władzą i oportunistów jej zwolenników. Nic dziwnego, że „oni już są”, bo oni tu stale byli.

Wojciech Reszczyński

Autor jest komentatorem w Programie 3 Polskiego Radia

207Nasz Dziennik 28.10.2010